

Pamięć wszystkich słów

Opowieści z meekhańskiego pogranicza



Dotychczas w cyklu ukazały się:

1. Opowieści z meekhańskiego pogranicza.
Północ – Południe
2. Opowieści z meekhańskiego pogranicza.
Wschód – Zachód
3. Niebo ze stali.
Opowieści z meekhańskiego pogranicza
4. Pamięć wszystkich słów.
Opowieści z meekhańskiego pogranicza

Robert M.
Wegner

Pamięć wszystkich słów
Opowieści z meekhańskiego pogranicza



powergraph

Warszawa 2015

Copyright © 2015 by Robert M. Wegner
Copyright © 2015 by Powergraph
Copyright © 2015 for the cover by Rafał Kosik
Copyright © 2015 for the map of Meekhan by Jolanta Dybowska
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Michał Cetnarowski
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na okładce: Rafał Kosik
Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik
Mapa na wyklejce: Jolanta Dybowska

Wyłączny dystrybutor:
„Firma Księgarska Olesiejuk” Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością Sp.j.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 00, fax 22 721 30 01
www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel./fax: 22 834 18 25
powergraph.pl
sklep.powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-64384-24-0

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne SA

Printed in Poland, EU

Prolog

Zaułek, warstwą grubą na dobre dwie stopy, wypełniały stare szmaty, resztki jakichś skrzyń, porozbijane gliniane garnki i inne śmieci. Oraz szcurze bobki, których odór nadawał specyficzny smak każdemu oddechowi. Na końcu tego królestwa znajdowała się wielka beczka z otworem zasłoniętym czymś, co musiało być kiedyś końską derką, i to taką, pod którą koń zdechł i która przez kilka miesięcy przykrywała jego truchło.

Przed beczką siedziała... chyba starucha, płci tej kupy gnatów bowiem, owiniętych w kilka szmat, ledwo się można było domyślać. Siwe strąki opadały na brudną twarz, wystające z postrzępionych rękawów dłonie zakończone były poczerniałymi pazurami, a odór, który roztaczała, sprawiał, że woń szcurzych bobków nabrała nagle przyjemniejszych nut. Na denku stojącego przed nią odwróconego cebrzyka leżało sześć kości o różnokolorowych ściankach, starych i wyslizganych tak, że zdobiące je kropki były niemal niewidoczne.

Starucha zgarniała je drżącymi rękami do skórzanego kubka, potrząsała nim i rzucała, a każdy jej rzut wywoływał jęk zawodu siedzącego naprzeciw mężczyzny, sądząc po

krótkim wamsie z doskonałego materiału i ałtasowej koszuli, której mankiety zdobiły zawile monogramy – szlachcica.

– Dwa pikle przeciw królowej. Jedynek na koniu bije trzy psy. Bezgłowy wąż gryzie mysz – mamrotała.

Każdy rzut i każde zdanie, wychrypiane gardłowym szep-tem, powodowało, że mężczyzna garbił się coraz bardziej, a dłonie, którymi zgarniał kości do kubka, miał coraz mocniej spocone i roztrzęsione. Ale nie przerywał gry.

– Cesarz i dwór – wybuchnął nagłą radością po kolejnym rzucie. – Cesarz i dwór, ty stara oszustko!

Pokręciła głową.

– Los nie oszukuje, los nie kłamie – powiedziała z lekką przyganą w głosie. – Dwa rzuty – dodała. – Dwa rzuty na śmierć władcy. Co postawisz?

– Wszystko. – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. – Wszystko i jeszcze więcej.

– Więcej nie trzeba. Wszystko wystarczy.

Kości znikły w kubku.

Yatech w milczeniu obserwował całą grę, której ani zasad, ani stawki nie znał. Stojąc pod ścianą, kilka kroków za plecami szlachcica, zdawał się całkowicie niewidoczny dla grających. A sama gra... zdążył już zrozumieć tyle, że liczą się w niej zarówno wyrzucone kropki, jak i kolory. Na przykład ostatni z dotychczasowych rzutów przyniósł szlachcicowi układ od jednego do sześciu na czerwonych ściankach.

Stara kobieta zakręciła kubkiem i posłała kości na drewniane denko wiadra. Potoczyły się szeroko... i zatrzymały, prezentując czarne ścianki ozdobione białymi kropkami. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć.

– Wrota Domu Snu.

Mężczyzna pobladł.

Kości zagrzechotały w kubku jeszcze raz i potoczyły się po zaimprovizowanym stoliku.

Jeden do sześciu, białe ścianki.

— Odźwierny przekręca klucz. Wrota się otwierają. Śmierć zabiera władcę i jego dwór. Koniec gry.

Mężczyzna zaśmiał się dziwnie, niemal kobiecym chichotem, unosząc jednocześnie blade dłonie do ust.

— Jeszcze jeden rzut — wyszeptał głosem wywołującym ciarki. — Jeden rzut. Nic więcej.

— Dobrze. Co postawisz?

— Wszystko. Wszystko...

— Wszystko już postawiłeś. Nie masz nic. — Kościsty paluch wskazał wyjście z zaułka. — Idź na spotkanie swojego losu.

Szlachcic podniósł się, powoli, lunatycznym gestem, jakby budził się właśnie z długiego snu, przetarł oczy i lekko się zataczając, ruszył we wskazanym kierunku.

Yatech odczekał chwilę, zanim podszedł i zajął miejsce naprzeciw staruchy.

— Każdy może wyzwać Los. Każdy może wygrać coś.

— Albo wszystko przegrać, Labayo z Biuk.

Nie widział momentu, gdy Kanayoness pojawiła się u wejścia do zaułka, ale siedząca przed nim kobieta zamachała żywołowo rękami, jakby próbowała utkać coś z powietrza. Yatech złapał ją za dłonie i przycisnął je do wiadra. Skórzany kubek spadł na ziemię, kości potoczyły się we wszystkie strony, niknąc w śmieciach.

Jego pani zamokła z wyraźną przyganą.

— No, no, takie powitanie po tych wszystkich latach... A ja miałam nadzieję na kielich lekkiego wina i kawałek ciasta. Chociaż... jak tak się rozglądam, przechodzi mi apetyt. — Westchnęła dramatycznie. — Powiedz mi, tylko szczerze, nie nudzi jej to już? Ma świątynie i kapliczki w każdym mieście, miasteczku i wiosce, tutaj zresztą też, nie dalej niż dwie ulice stąd wznosi się jej całkiem spory przybytek, a mimo to wraca do korzeni. Ty i twoje siostry... tajemnicze Prządki Przeznaczenia, spotykane w mrocznym zaułku, w kącie karczmy, na rozstajach dróg. Zawsze proponują grę z Losem o spełnienie każdego

marzenia, jakie człowiek może tylko mieć. Jedna zawsze wygrywa, druga zawsze przegrywa, trzecia... pół na pół. A po kilku partiach znikają bez śladu. Naprawdę Eyfra nadal chce się w to bawić?

Starucha przestała wrywać ręce, posłała za to kose spojrzenie za plecy Yatecha.

— Ale to działa, dziecko. Działa, i to jak. Wszyscy znają historie o starej Labayo albo Kitchi od Uśmiechu, albo Ogewrze Pani Nieszczęścia. I niejeden nas szuka. A opowieści o tych, którzy znaleźli i dzięki temu wygrali lepszy los, znaczą więcej niż tysiąc ofiar całopalnych złożonych w tysiącu świątyni jednocześnie. Budzą wiarę, nadzieję... Tak to działało u zarania czasów i tak będzie działało, gdy gwiazdy zaczną spadać na ziemię. Pierwotna Moc napędzana marzeniami.

— Wiem, wiem. Każdy sposób jest dobry, by przyciągnąć uwagę śmiertelników. — Usłyszał szelest i coś pękło z głuchym pogłosem, gdy Mała Kana weszła głębiej w zaułek.

— Dziwne, nie słyszę krzyków świątynnych strażników... Czyżby twoja pani postanowiła cię zostawić?

Yatech zacisnął mocniej uchwyt, spodziewając się, że starucha zrobi coś głupiego. Polecenie Kanayoness było jasne: cokolwiek będzie się działo, nie może puścić rąk tej kobiety ani pozwolić jej sięgnąć po to, czym grała.

— Nie. Ale wiesz, co powiadają: jej świątynia jest tam, gdzie grzechoczą kości. A właśnie, skoro my już o tym – tutaj też toczyła się gra. Ja jestem jej kapłanką, a ty stąpasz właśnie po świętej ziemi, dziecko. Uważaj, gdzie stawiasz stopy.

— Uważam. Przecież dopiero co wyczyściłam buty.

Dziewczyna usiadła obok Yatecha i podniosła leżący wśród śmieci kubek.

— Ile to już lat... — Powąchała go jak smakosz wciągający w nozdrza aromat rzadkiego trunku. — To ten sam, prawda? Ten sam, którym zagrała w kości z nią i przegrała. Jeden rzut o los pewnej duszy...

Poczuł, że na niego patrzy.

– Zabawne... – kontynuowała. – Wiesz, nie sądziłam, że Eyfra jest taka sentymentalna. Może ja też będę.

Klasnęła w dłonie i kubek znikł.

Za woalką brudnych strąków oczy staruchy zmieniły się w kulki lodu.

– Kuglarskie sztuczki – parsknęła pogardliwie. – Moja pani nie ściga cię, niechciane dziecko, ale jeśli chcesz, żeby zaczęła, zabierz go ze sobą.

– Och. Ściga mnie już tyłu, że jeśli kiedyś dogonią, zrobi się całkiem spory tłum.

Kanayoness westchnęła, sięgnęła dłonią za plecy i wyciągnęła kubek.

– Myślałam, że jestem w tym lepsza, moje dłonie musiały wyjść z wprawy.

Postawiła naczynie na denku wiaderka i podniosła rozsypane kości.

– Każdy może wyzwąć Los. Każdy może wygrać coś – wymruczała. – To jak? Zagramy?

Yatech wyczuł, że kobieta kamienieje. Otworzyła i zamknęła usta, jakby odebrało jej mowę.

– Jeden rzut. Jedną kością. Niższy wynik wygrywa. – Mała Kana zdawała się nie zauważać miny staruchy.

– Co... co postawisz?

– Nie zapytasz, o co zagram? Tamten – wskazała na wylot zaułka – grał o śmierć żony i spadek, który mógłby przejąć, prawda? A ja? Jak sądzisz? O co zagram?

Yatech zobaczył krople potu pokrywające czoło Labayi.

– A o co chcesz?

– O spotkanie ze znajomym.

Wojownik kątem oka złowił uśmiech czarnowłosej dziewczyny i był wdzięczny, że nie widzi jej twarzy. Starucha zbladła.

– Szukam go od lat, ale doskonale się ukrywa. Raz, kilka miesięcy temu, prawie nam się to udało, lecz odebrano mi

możliwość... konwersacji i nas rozdzielono. Teraz chcę mieć pewność, że go odnajdę i mi nie ucieknie.

– I Los ma ci dać taką szansę?

– Jak widzisz, jestem zdesperowana.

Labaya przymknęła oczy i zastygła na chwilę.

– Co postawisz? – głos staruchy nie zmienił się ani odrobinę, lecz pojawiło się w nim coś... mrocznego.

– Och, przyszałaś, Eyfro. Nie sądziłam, że się zjawisz osobiście. – Dziewczyna przekrzywiła głowę, jak ptak próbujący się lepiej przyjrzeć interesującej go błyskotce. – Keru'weln, możesz ją puścić.

Yatech puścił chude nadgarstki i mimowolnie wytarł ręce o spodnie. Skóra kobiety zrobiła się przed chwilą lodowato zimna i lepka. Poza tym najwyraźniej starucha od bardzo dawna się nie myła. Poczuł dotknięcie na ramieniu.

– Wyjmij miecz.

Yphir zgrzytnęła o okucie pochwy.

– Jeśli zdejmę ci dłoń z ramienia, zabij ją – Mała Kana wskazała Labayę. – Mierz w twarz.

Oparł czarną klingę o bok wiadra, kierując sztych w stronę pomarszczonego oblicza.

Odpowiedział mu uśmiech. Chłodny i ironiczny.

– Chcesz mnie rozgniewać, Kanayoness? Odkąd uciekałaś, wielu składa ofiary w moich świątyniach w intencji twojego pojmania. Bez skutku. Na razie.

– Może dlatego, że jestem poza twoim zasięgiem, Eyfro. Choć jeśli komuś uda się mnie dopaść, zapewne ogłosisz, że to zasługa twojej łaski. Jak zwykle. A on nie zdoła cię zranić.

– Ale moją służkę już tak. A ja odpłacam wiernością za wierność.

– Skoro tak twierdzisz...

Zaułek wypełniła cisza, nawet odgłosy głównej ulicy znikły.

– Próbujesz mnie obrazić? Czego chcesz?

– Mówiłam.

– Nie wtrącam się w tę waszą wojenkę. Zachowuję neutralność.

Mała Kana zamokła, rozbawiona.

– Neutralność... Przypomnij mi, czy to takie zastępcze określenie tchórzostwa, czy głupoty? Nigdy nie mogłam zapamiętać.

– Nie prowokuj mnie.

– Bo? Widzę pot, który żłobi sobie nowe koryta na twarzy twojej służki, i zastanawiam się, czy to jej strach, czy twój. Strach to dobre uczucie. Ja się nie boję, pamiętasz? Zabraliście mój strach, zabiliście go, a potem pozwoliliście mi żyć. To bardzo głupio pozwolić żyć komuś, kogo strach zamordowało się własnymi rękami. Jeden rzut jedną kością, uczciwy, bez twoich zwykłych sztuczek. Niższa wygrywa.

– Co postawisz?

– Wszystko.

Po raz drugi zobaczył, że starusze brakuje słów.

– Jeden rzut, jedną kością – powtórzyła Mała Kana. – Niższa wygrywa. Rzucamy tą samą kością, nie używamy naszych Mocy, niedopuszczalne są krzyki i potrącanie blatu. I śpiewanie. Śpiewanie też jest zabronione. Zdecydowanie. Ten, kto tak zrobi, przegra. To będzie taki... – uśmiech zaczął się w jej słowach – ... powrót do korzeni. Co ty na to? Nie chcesz znów poczuć dreszczyku, gdy wszystko zależy od tego małego, turlającego się drobiażdżku. Przeżyć tej chwili, gdy – nim się zatrzyma – wszystko może się zdarzyć? Łatwo jest wygrywać ze śmiertelnikami, ale nie nudzi cię to już? Ja jestem gotowa zaryzykować. Stawiam wszystko, ty – spotkanie z osobą, której szukam. Decyduj się, bo jeśli wyjdę z tego zaufka, nie dam ci następnej szansy.

Bogini, ukryta w ciele kapłanki, pokręciła głową.

– Wiele ode mnie wymagasz... Gra może się okazać niewarta stawki. Nawet dla mnie.

— Więc zwiększę twoje szanse, Eyfro. Wiek przed urodą i szaleństwem. Remis też da zwycięstwo tobie.

Zapadła cisza. I gdy wydawało się już, że nic z zakładu nie będzie, doczekali się powolnego skinięcia głową i ochryplego szeptu:

— Zgoda.

Kanayoness, nie puszczać ramienia Yatecha, wolną ręką wrzuciła jedną kostkę do kubka.

— Ja pierwsza.

Zakręciła naczyniem.

Kostka zatańczyła na denku wiadra i sześć kropek na czerwonym polu uśmiechnęło się do nich szyderczo.

Chichot staruchy brzmiał jak pocieranie rzemieniem o kawałek szyby.

— Przegrałaś... przegrałaś... jeszcze nie rzuciłam, a ty już przegrałaś. Los ci nie sprzyja.

Mała Kana nawet nie drgnęła.

— Twój rzut.

— Po co, dziecko? Po co? Nie mogę wyrzucić siódemki, a przecież remis daje mi zwycięstwo. Przegrałaś.

— Każda gra musi mieć swój początek i koniec. Ta nie skończy się, jeśli nie rzucisz.

Podobne do wychudłych pazurów palce zagarnęły kość do kubka.

— No, jeśli zasady są dla ciebie tak ważne... — Labaya potrząsnęła energicznie naczyniem — ... to niech wszystkim formalnościom stanie się zadość.

Kolorowy sześcian potoczył się po denku wiaderka.

Dłoń Kanayoness oderwała się od ramienia Yatecha, a jego miecz wystrzelił w stronę twarzy starej kobiety. I natychmiast ta sama dłoń złapała go za nadgarstek, zatrzymując klingę pół cala od pomarszczonego oblicza. Ale było już za późno.

Być może podekscytowana pewnym zwycięstwem bogini rozluźniła kontrolę nad ciałem swojej kapłanki, a może nawet

Nieśmiertelni dają się zaskoczyć, dość że starucha wrzasnęła przerażona i rzuciła się w tył, kopiąc z rozmachem w cebrzyk.

Kość spadła z niego i znikła w stercie śmieci.

Zaułek znów wypełnił się ciszą, ale tym razem była to cisza inna niż poprzednia. Gęsta, mroczna. A gdy Yatech spojrzął na podnoszącą się z ziemi Labayę, nie dostrzegł już starej kobiety, tylko Obecność. Doprowadzoną do furii boginię.

— Tyyyyyy.... — głos zdawał się ciąć powietrze.

Jego pani przesunęła się do przodu i uśmiechnęła zagadkowo.

— Tak?

— Oszukałaś mnie!

— Ja? Nie użyłam czarów, nie krzyknęłam i nie potrąciłam blatu. Ani, na litość bliżej nieokreślonego wielkiego bytu, nie zaśpiewałam. Mam świadka. — Położyła mu znów dłoń na ramieniu. — To ty wrzasnąłeś i przewróciłeś nasz stolik. A kto wie, może jeszcze zatańczysz, wieczór wszak wciąż młody. Przegrałeś.

Yatech nie spuszczał wzroku z twarzy Labayi. Jej oczy płonęły, włosy się unosiły, a skóra zdawała się świecić wewnętrznym blaskiem.

— Uważaj — szept Kanayoness zabrzmiał na granicy słyszalności. — To ciało nie zdoła pomieścić więcej twojej obecności. Jeszcze kilka chwil, a zapłonie. Podobno odpłacasz wiernością za wierność.

Dźwięki z głównej ulicy wkradły się do zaułka, powoli i ostrożnie, jak gromadka ciekawskich dzieci szperających tam, gdzie im nie wolno.

— Tak lepiej. — Dziewczyna zmrużyła oczy. — Uznasz swoją przegraną?

Nieoczekiwanie rozległ się cichy chichot.

— Ale ja nie przegrywam. Nigdy nie przegrywam, najśłodsza. Nie pamiętasz? Los nie ocenia wyrzuconych kości, dla niego Cesarski Dwór ma taką samą wartość jak Zaraza.

Ojoj, cóż za spojrzenie. Przecież sama zgodziłam się na twoje warunki, nieprawdaż? Więc tak, uznam twoją wygraną, ale ty, złodziejko duszy, zrobisz w zamian coś dla mnie.

— Nie tak się umawialiśmy.

— Wiem... wiem... i wiem też, że w naszej umowie nie było ani słowa o dźganiu mieczem starej kobiety. Nie bądźmy zbyt drobiazgowi. Dotrzymam słowa, lecz spotkanie spotkaniu nierówne. Ty chciałabyś zapewne z nim porozmawiać, wyjaśnić kilka spraw, napić się wina... a nie odnaleźć go na mgnienie oka przed tym, nim miecz oddzieli jego głowę od ciała. Nie mógłby ci wtedy uciec, ale chyba nie o to ci chodziło? Zapewniam cię, że potrafię dotrzymywać umów równie przewrotnie jak ty. Więc?

Yatech zerknął kątem oka na Kanayoness. Uśmiechała się.

— Pamiętasz ją?

— Co? Kogo?

Starucha zmarszczyła brwi, a on omal się nie roześmiał. Nagłe zmiany nastroju, przeskakiwanie na inny temat w środku, zdawałoby się, niesłuchanie ważnej rozmowy albo zamilknięcie bez powodu... zdążył już poznać te dziewczynę na wylot, okazało się jednak, że nawet bogów potrafi ona wyprowadzić z równowagi.

— Ją. Tę, która wcisnęła wszystkim twarz w błąko pełne krwi i łez. Uprzejmie i delikatnie, ale tak, że aż zaczęli się nim dławić. Z tobą zagrała o pewną duszę, bo nie chciałaś się zgodzić na danie jej szansy, dobrze pamiętam?

Oczy, ukryte pod woalką brudnych kłaków, pociemniały.

— On wymordował wszystkie moje dzieci w miastach i osadach wzdłuż całych Wschodnich Dhyrwów, zbezczeszczył świątynie, spalił księgi i zrównał z ziemią kręgi wróżb. Nie zasłużył na istnienie.

— A czy w takim razie my zasłużyliśmy? Kto może to ocenić? Przegrałaś z nią jeden rzut kości, ale czy powiedziała ci coś, co pamiętasz do tej pory?

Labaya oblizała wargi.

— Po co... ci to?

— Zbieram jej słowa. Każde, które wypowiedziała. Szukałam ich śladów w świętych księgach, legendach i mitach, ale wiesz, jak to jest. Wszystkie spisano wiele lat po wojnie, czasem wiele pokoleń po niej, na podstawie opowieści przekazywanych z ojca na syna, gdzie każdy dołożył coś od siebie albo starał się upiększyć historię. Choć niektóre z nich są zaskakująco prawdziwe. Ale nie ma to jak sięgnięcie do źródła.

Przez dłuższą chwilę starucha milczała, tylko po jej twarzy przebiegały nerwowe tiki.

— Powiedziała, że żadna gra nie zostaje rozstrzygnięta, póki ostatni gracz nie wykona ruchu. I że przyszłość to zawsze ta część kartki, na którą nie zawędrowało jeszcze pióro.

Westchnienie kazało Yatechowi zerknąć w bok. Dziewczyna uśmiechała się szeroko.

— Zawsze była dobra w obelgach. Powiedzieć tej, która przybrała tytuł Pani Losu, że przyszłość nie istnieje, a jej potęga to iluzja oparta tylko na wierze śmiertelników... — Kanayoness zamrugwała szybko. — Dobrze więc, co chcesz, żebym zrobiła?

Bogini odchrząknęła ustami Labayi.

— Powiem ci, jak zostaniemy same. Tylko we dwie.

— Dobrze. Keru'weln, wyjdź i poczekaj na ulicy.

Część I
Stukot kości

